Nr. 25. Lwów, Niedziela, 4. Października 1885 r. Rok VIII

GONIEC NIEDZIELNY i ŚWIĄTECZNY.

Dziennik dla Wszystkich illustrowany, i nie illustrowany.

Wychodzi w każdą niedzielę, a w święta wychodzą dodatki świąteczne ekspediowane razem z numerami niedzielnymi. Prenumeratorom miejscowym „Goniec" odsela się domieszkania. Za odnoszenie dopłaca się 5 ct. *miesięcznie* roznosicielowi.

Prenumerata wynosi wraz z dodatkami świątecznymi.

tak we Lwowie, jak i na prowincji (z przes. poczt.):

rocznie	8 zł. — ct.
półrocznie	4 „ — „
kwartalnie	2 „ — „
miesięcznie	— „ 70 „

W Poznańskiem i Prusach, oraz w Niemczech 4 marek kwartalnie. — we Francji i we wszystkich innych krajach, oraz w Ameryce 5 fr. kwartalnie, które przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych.

Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych, stosownie do umowy.

Redakcja i Administracja znajduje się we Lwowie przy ulicy Ossolińskich l. 10 od frontu ul. Ciehej, gdzie się przyjmuje prenumeratę i ogłoszenia. Prenumeratę przesełać należy przekazami pocztowymi, lub w listach pieniężnych franco pod adresem: Do Administracji „Gońca Niedzielnego i Świątecznego" we Lwowie. Listy powinny być frankowane.

Za granicą ogłoszenia przyjmują: w Wiedniu: Haasenstein et Vogler Wallfischgasse. A. Oppelik Stubenbastei, Rotter et Comp. I. Riemergasse 13, Daube et Comp. Maximilianstrasse 3; Berlinie, Wrocławiu, Hamburgu, Brunświku i Szwajcarji Haasenstein et Vogler; w Paryżu biuro anonsów pułkownika Raczkowskiego Foubourg Poissonier 32; w Peszcie ajencja ogłoszeń Langa. W Frankfurcie n. M. Daube et Comp.

Właściciel i naczelnie kierujący częścią literacką i administracyjną: **M. D. Chamski**.

Od Administracji.

Przy rozpoczynaniu się nowego kwartału, prosimy uprzejmie o odnowienie bieżącej i wyrównanie zalegającej prenumeraty, przesełając takowe przekazami pocztowymi do Administacji. Nowi prenumeratorowie otrzymają początek drukującej się powieści: Tajemnica grobowca.

Nowiny od ręki.

= Smutno rozpoczyna się sezon zimowy we Lwowie... W zeszłym tygodniu, acz przewidziany, niemniej jednak bolesny nastąpił zgon ś. p. Walerjana Podlewskiego, posła na sejm, członka Wydziału krajowego i prezesa weteranów polskich z roku 1831. Był to jeden z najzacniejszych ludzi, który, jako oficer wojska polskiego walczył w szeregach armji naszej w 1830 i 1831 r. Portret zmarłego podaliśmy jeszcze przed ośmiu laty, a później niejednokrotnie pisaliśmy o pożytecznej działalności tego męża, pełnego poświęcenia i najzacniejszych uczuć parjotycznych. Zmarły liczył lat 76. Ze śmiercią ś. p. Walerjana Podlewskiego, społeczeństwo polskie, poniosło prawdziwie narodową stratę!...

We wtorek zaś zmarł nagle ś. p. Karol Groman, współwłaściciel „Kurjera Lwowskiego", dawny współwłaściciel „Gazety Narodowej" i współwłaściciel drukarni tejże „Gazety". Zmarły był radnym miasta, członkiem lwowskiej izby handlowej, kuratorem „Gwiazdy" i prezesem stowarzyszenia drukarskiego. Umarł w sile wieku, bo w 54. roku życia. Śmierć nagła ś. p. Gromana zrobiła prawdziwą sensację w mieście i wylęgły się pogłoski, które jednak są niezgodne z prawdą... Zmarły należał do ludzi gorętszych i radykalniejszych kierunków politycznych — mimo to, odznaczał się szlachetnym taktem, wyrozumiałością, sprawiedliwością w sądach o ludziach i obcy był wszelkim intrygom, których niestety, tak wiele, w naszym ciasnym światku lwowskim dziennikarsko-wydawniczym... Lubiany też był powszechnie i szanowany, chociaż miał nieprzyjaciół, którzy, szczególniej w ostatnich czasach, szkodzić mu usiłowali. Odznaczał się niepospolitą wytrwałością i niezwykłym zmysłem administracyjnym, którym też zawdzięczał dość znaczną fortunę.

= Na zjazd kupców i przemysłowców chrześcijańskich, który się odbył tymi dniami we Lwowie, a o zaprojektowaniu którego donosiliśmy w jednym z poprzednich numerów „Gońca", zjechało się zaledwie około stu uczestników. Obrady toczyły się w sferze ogólników, których sens moralny zamykał się w słowach: „oby nam było, jak najlepiej"... Bardzo to, zresztą, dobra zasada, szkoda tylko, że na zjeździe, zanadto uwydatniła się chęć monopolu kupieckiego i przemysłowego, zanadto strzelającego do kieszeni konsumentów... Występowanie przeciwko spożywczym stowarzyszeniom i sklepikom zakładanym przez kółka rolnicze, wywołało przykre i niekorzystne wrażenie na szerszej publiczności... Zanadto też ujawnił się jednostronny charakter tego zjazdu, na którym wyłącznie mówiono o interesach swego domu, a niedotknięto ogólnej, moralnej zasady kupiectwa i przemysłu... Nie poruszono np. szarlatanerji kramarskiej, która łysych obdarza bujnym porostem włosów, łódkami sprowadza kawę przez oceany, która fałszuje potrawy i napoje, rujnuje kosmetykami, niemającymi nic wspólnego z medycyną, zdrowie ludzkie — nie dotknięto złej wiary w handlu, która przecież wiadomo, że istnieje i szkodzi rzetelnym kupcom i przemysłowcom. Nie zastanawiano się, jak należy, nad wychowaniem i praktykowaniem młodzieży handlowej i rzemieślniczej, a poziom moralny, szczególnie tej ostatniej, ciężko leży na sumieniu panów majstrów — jednem słowem, zjazd powyższy, był zapewne dość przyjemnem dla uczestników zebraniem — ale korzyści nie przyniósł.

= Dowiadujemy się, że rozpoczęte juz zostały kroki celem otworzenia nowych aptek w Gródku koło Lwowa i w Mościskach. Gródek liczy przeszło 12,000 mieszkańców i posiada tylko jedną aptekę, a ustawa wymaga, aby na 5000 mieszkańców miastowych przypadała jedna apteka. To też mieszkańcy Gródka oczekują z niecierpliwością drugiej apteki. W Mościskach jest przeszło 6000 mieszkańców i bardzo ludna okolica, a apteka jest tylko jedna. Sfery rządowe nietylko nic nie mają przeciwko nowym aptekom w powyższych miastach, lecz owszem, są bardzo skłone do udzielenia koncesji, — szczególniej też potrzeby Gródka pod tym względem, znalazły niepodzielne poparcie w sferach decydujących.

= Z tajemnic Lwowa. Śledztwa policyjne i sądowe, w ostatnich czasach skonstatowały, że we Lwowie kwitnie handel... dziewczętami... Najdrożsi bracia mojżeszowego wyznania, poświęcają się temu szlachetnemu zawodowi, które miasto nasze wprowadza w bezpośrednie stosunki z Konstantynopolem, Londynem, a nawet Ameryką... „Co za honor, co za cześć," — powiedziałby niezrównany nasz Fiszer... Wielu myśli, a nawet za wielu, że Lwów, to jest kotlina, w której źle żyją, źle trawią, ciągle się martwią i skarżą na

biedę — a jednak Lwów, jest wielkiem miastem, bo ma także swoje tajemnice, którychby i „Palle Malle Gazette“ pozazdrościć mogła...

Słyszeliśmy nawet, że pani Gabrjela Śnieżko Zapolska pisze studjum obyczajowe p. t. Upadłe anioły na stosuneczkach lwowskich osnute... Ach, te stosuneczki... Gdyby można było mówić to, co się myśli, pisać to, co się mówi i drukować to, co się pisze, to moralność nasza i obyczaje, wcaleby się nie przedstawiły w tak patrjarchalnem świetle, jak się zdaje niektórym naszym moralistom z nocnych kawiarni... Ale to trudno — za granicą jest Sodoma i Gomora — u nas gołębia czystość... U nas w przyzwoitem towarzystwie, gdzie są zwłaszcza kobiety, nie można wtrącić wyrazu „koszula“, bo się wszyscy gorszą...

Ale o... malinach można pisać...

Jest tedy we Lwowie pewna malina, której żywy towar niewieści, oddawna wyrobił pozycję w naszych stosuneczkach lwowskich... Malina ta jest już zanadto dojrzała... Znajdują u niej przytułek różne maliny i i te, co już upadły, i te, co upaść pragną, i te, co... ani upadły, ani upaść pragną, ale upadną, bo od czegoż są maliny...

W historji upadku kobiet, igła i maszyna do szycia, szelmowskie często zajmują miejsce... Nie dość, że ciężko pracującej nią, albo na niej, nie dają dostatecznego zarobku i rujnują zdrowie — ale igła i maszyna osłaniają przed światem i przed policją najohydniejszą praktykę...

I ta malinka posiada także igły, maszyny do szycia, a stosuneczki jej szerokie, sięgają do Odessy i dalej jeszcze...

Takich malin, szczęśliwie rosnących, jest więcej we Lwowie... Do tych „ogródków“ zajrzemy jeszcze nie raz...

A jeśli z powodu naszych sprawozdań, nieszczęśliwy towar żywy, znajdzie zasłonę i opiekę tam, gdzie siła i sprawiedliwość jest do rozporządzenia, jeśli, coś zrobi się z tego powodu dobrego, bo takie złe zupełnie nigdy się wykorzenić nie da — to niżej podpisany o nic więcej nie prosi, tylko o... pocałunek jakiego uratowanego aniołka...

Reporter bez nogi.

Echa z prowincji.

Z Nowego Sącza.

Nie będziemy wspominać o środkach jakimi partja magistracka w naszem kochanem miasteczku przy wyborach do rady miasta zaledwie kilku głosami zwycięstwo odnieść potrafiła, lecz trudno nie wyznać, że wybór ten, z wyjątkiem kilku osobnikom miasta, w ogóle żadnej nie przyniósł korzyści, lecz przeciwnie o szkodę przyprawił.

Jeżeli rada jest bierną zupełnie i potulną, przyjmującą i uchwalającą prawie bez rozpatrzenia bliższego wniosku zwierzchności, zatwierdzającą każdy rachunek, z niczem samoistnem nie występującą, unikająca wszelkich interpelacyj, a sprawy, wymagające zaradczych środków zbywająca milczeniem, by się nikomu, a szczególnie swojemu prezesowi nie narazić, toć oczywistą jest rzeczą, że dobrych owoców przy takiej radzie spodziewać się nie można.

W tej radzie zasiada n. p. pewna osobistość, która wszelkiej dyskusji nie nawidzi, albowiem „zwierzchność się już uadtem zastanawiała“ to nie ma co radzić; lub patrząc co chwila na zegar, woła o zamknięcie dyskusji, bo spóźniona pora i t. d. Są też drudzy, którzy mając długi w kasie oszczędności, której dyrektorem burmistrz, związane języki, wbrew swemu przekonaniu nigdy niczemu nie stawią opozycji. Są nareszcie indywidua mniemające że dla swych stosunków najlepiej postąpią, zgadzając się na wszystko, co „zwierzchność“, a raczej pan prezes postanowił. Otóż, taka rada ma pozór tylko blichtru, a całym nie tylko wykonywającym, lecz i uchwalającym rządem, jest magistrat, to jest pan burmistrz.

Lecz i w takim razie nie uważalibyśmy jeszcze za konieczne, rozwodziś nasze żale nad spaczeniem rządu autonomicznego, gdyby w magistracie pracowali ludzie z lepszemi pojęciami, gdyby szczególnie naczelnik jego był gospodarzem, praktykiem, gdyby zaglądał, dozorował, radził, kierował, słowem oddał się sprawom miasta, jak to wielu innych dbających o rozwój swojej gminy, czyni burmistrzów; gdyby nakoniec naczelnik ten z biura swego prezesostwa czuwał bez ustanku nad urzędnikami, aby ci obowiązki swoje wypełniali gorliwie i sumiennie.

Ale u nas w Sączu daleko do tego. Naczelnik gminy, adwokat, zbyt zatrudniony sprawami swego właściwego zawodu, nie może tyle, coby konieczna wymagała potrzeba, poświęcać się obowiązkom burmistrza, z czego znowu wypływa, że referenci, nie zawsze na zupełne zasługujący zaufanie, zbyt szeroko swoją mniemaną władzę rozpościerają. Między innemi, przekazanie referatów kilku sekcyj p. T. któremu c. k. starostwo już dawno za usługi komisarskie zpensjonowaniem podziękowało, mogło wprawdzie i czynność p. burmistrza zredukować do minimum, lecz obciążyło budżet miasta niepotrzebnemi remuneracjami, a w zarząd miasta, jakby rozdwojenie wprowadziło. Ludzie, bowiem, pytają nie raz, czy p. O. czy T. jest gospodarzem miasta?

W jak nieodpowiednich rękach znajdował się urząd budowniczego naszego, pisano już przedtem alę i policja tutejsza nie mogła mieć za kierownika, mniej uzdolnionego, mniej pracowitego i mniej — trzeźwego człowieka, wie dobrze sądecka publika. A że taki inspektor policji mimo to, i mimo czynów zawadzających o niektóre drażliwego bardzo charakteru paragrafy, potrafił długie lata utrzymać się na swem stanowisku, dopóki go sam Stwórca nie powołał do zdania rachunku z włodarstwa, o które się w życiu jego nikt nie troszczył, wypływa właśnie z tych opisanych powyżej stosunków. Pokazuje się zatem, że można być bardzo wątpliwej wartości człowiekiem, ale tylko mieć trochę sprytu, a mianowicie rozwinąć nie pokazującą się w pełnieniu służby energję agitując na rzecz rządzącej partji — to tam jakoś to i owo uchodzi...

Drastyczny przykład wykonywania samorządu mieliśmy tutaj na dniu 17-go b. m. Na posadę inspektora policji wpłynęło dziesięć podań, z których tylko dwóch kandydatów pod głosowanie przyjść miało. P. M pensjonowany porucznik sądeckiego pułku z 8-miu kl. gimnazjalnemi, i sierżant policji z 2-ma klasami normalnemi; pierwszy przez 12 lat oficer, drugi 12 lat policjant miejski; pierwszy uzdolniony z widokami dalszego awansu w armji (zepsucie nogi sprowadziło pensję), drugi, jak dawniej tak i teraz bez zaufania w swe siły nie chcący się nawet ubiegać o tę posadę, dopóki nie wmówili weń zdolności i chęci ubiegania się ci mali magistraccy ministrowie, którzy wolą obok siebie widzieć proste narzędzia do swych celów, niż samodzielną pracę.

Gorąco i wymownie popierała większa część intelligencji, rady p. M. a szczególnie dyrektor gimn. dr. Klemensiewicz podnosił niezbędną potrzebę lepszego wykształcenia inspektora policji, jako urzędnika większego miasta.

Lecz ktoby myślał, że właśnie ta pochwała, to żądanie inteligencji nie mile poruszy, zniechęci i oburzy panów radców niektórych; ktoby też myślał, że w mieście naszem znajdą się nawet reprezentanci społeczeństwa polskiego, którzy dla swego urzędnika uważać będą za dostateczne wykształcenie, jakie nadać może 2-ga klasa szkoły miejskiej? Jużby nas podobne zapatrywanie osób mających więcej snopków w stodole, niż wiedzy w głowie, nie tak mocno dziwiło, jak to, że i oświeceni także poszli w ślady tych rzekomych filozofów. Argument jednego obywatela „ze zdrowym rozumem“, że kiedy przy namiestnictwie może być jeden nadradca z ukończoną 4-tą klasą, to dla inspektora policji sądeckiej wystarczą 2 klasy — jest wprawdzie śmiesznym i niedorzecznym, lecz niestety i smutnym objawem u naszych ojców miasta. P. M. upadł 2-ma głosami, którymi dwaj uciekinierzy z jego obozu, mimo danego słowa, poparło pana P. —

Jakie podobnym wynikiem dała sobie świadectwa nasza rada, czytelnik się domyśli. Wielce charakterystyczną jest rzeczą, że po wypoliczkowaniu lepszego wykształcenia, rada stante pede uchwaliła przyjęcie do służby magistratu prawnika na koncypienta.

Czy to nie dla tego nowego inspektora policji, jak niektórzy utrzymują?

Pójdzie w górę.

HUMORESKA

przez

Kl. Junoszę.

(Ciąg dalszy.) Patrz Nr. 24.

Taką miał opinję pan Michał w oczach kapitalistów. Sąsiedzi również szanowali i lubili go bardzo, gdyż ze wszech miar na to zasługiwał: był spokojny, zgodny, uczynny, unikał wszelkich procesów i sporów —

jednem słowem — nie naraził się nigdy nikomu. Dom jego był ogniskiem, w którem zgromadzali się sąsiedzi, dla pogawędki, utyskiwania na ciężkie czasy i dla ulżenia sercom ..

I dziś, gdy już ostatnia fura do stodoły wjechała, a ludzie rozeszli się z pola, gdy mrok zapadać zaczął, przed dworkiem pana Michała, znalazło się kilka bryczek. Był do tej wizyty specjalny powód, a mianowicie imieniny pani domu. Ten i ów pospieszył złożyć solenizantce życzenia i przepędzić kilka godzin w gościnnych progach sąsiada. Salonik zaczął się napełniać, a w sąsiednim pokoju pani Michałowa z Ewunią krzątały się około przyrządzenia herbaty. Ewunia, aczkolwiek pilnie pomagała matce, zdawała się jednak roztargnioną i coraz rzucała nieśmiałe wejrzenia na drzwi saloniku. Być może, że pragnęła głos oczekiwanego gościa usłyszeć...

Tymczasem same tylko basy i barytony rozbrzmiewały w salonie, a Adaś miał przepyszny tenor, o nadzwyczaj sympatycznem brzmieniu, w uszach Ewuni przynajmniej.

— Panie dobrodzieju, — mówił ktoś basem grubym — zdaje się, że w tym roku będzie trochę lepiej...

— Zkąd lepiej?! cóż znowu! chyba sądzicie, że manna z nieba spadać zacznie?

— Nie — lecz konjunktury... wyraźnie czytałem, konjuktury fluktacji kursów, przy ewentualności mutacji w eksporcie...

— Toś pan czytał?!

— To, słowo daję. na własne oczy czytałem.

— I cóż ztąd?

— A cóż? jasna rzecz, lepiej będzie na świecie; przecież konjuktury fluktuacji... powiada... przy ewentualności mutacji... powiada...

— Niech mnie licho, jeżeli chociaż jeden wyraz rozumiem...

— Zachciałeś sąsiad!... przecież cała mądrość polityki zasadza się na tem, żeby jej nie można było zrozumieć...

— W takim razie, zkądże znów takie pocieszające wnioski i nadzieje?

— Gdyż poniżej dodano już po polsku, że zboże pójdzie w górę!

— Pójdzie w górę??... hę? jakto?... pan dobrodziej powiedziałeś?... — zapytał jeden staruszek nieco głuchy.

—W górę, panie dobrodzieju, w górę! — huknął mu w samo ucho zapytany.

— Czegoż pan tak krzyczysz? przecież słyszę, że w górę... zapewne o zbożu tu mowa?... Daj Boże! daj to Boże Najwyższy! — ale ja wątpię.

— Rzecz bardziej niż pewna. W Ameryce, słyszę, nieurodzaj, indyjska szlachta także na łeb na szyję straciła — a u nas nieszczególnie wprawdzie, ale zawsze coś jest, zawsze chociaż trochę będzie do sprzedania. Wszak prawda, panie Łukaszu?

— Ja tam, moi panowie, jestem niedowiarek; dopóki nie dostanę ośmiu rubli za korzec pszenicy płacą ośm rubli. Co mi tam gazety... gazeta zboża nie kupi!

— Zawsze, jednak... przecież oni w Warszawie, prędzej coś wiedzą, aniżeli my, na naszym marnym partykularzu.

— Co oni mogą wiedzieć!.,. powtarzają jeden za drugim, jak za panią matką pacierz i kontenci — zdaje im się, że już świat zbawili! W tym razie jednak są inne znaki, wskazujące, że rzeczywiście dzieje się coś na świecie — a te znaki rzadko kiedy zawodzą.

— Jakież to znaki, panie Łukaszu? — jesteśmy bardzo ciekawi.

Pan Łukasz odchrząknął i zaczął mówić z powagą:

— Kochani sąsiedzi! jestem ja człowiek starego autoramentu i, aczkolwiek szanuję wszelkie nowe wynalazki, jednak lubię się trzymać dawnej metody. Ładna to jest rzecz termometr naprzykład — ale i bez termometru, jak wyjrzę tylko lufcikiem, to zaraz zmiarkuję, czy na dworze jest ciepło, czy zimno. Tak samo i co do gazet. Nie powiem, żebym czytać nie lubił, owszem, trzymam pisma dla żony, dla córek — no — i sam także w wolnym czasie czytuję — ale skoro naprawdę chcę wiedzieć, co się dzieje na śweicie i, jak faktycznie rzeczy stoją, to posyłam po Icka.

— Co też sąsiad dobrodziej mówisz!?... Zkąd taki żyd, chałaciarz, może wiedzieć, co się dzieje na świecie, kiedy on po za granicą powiatu rzadko kiedy bywa?

— Nie obawiaj się pan, chociaż siedzi na Podlasiu, wie on jednak dobrze, co się dzieje na całym świecie, bo od tego on jest żyd, panie dobrodzieju. On słyszy jak trawa rośnie — a że nie wyjeżdża z granic powiatu, to nie dowód. Zagraniczni żydzi bywają w Warszawie, warszawscy w Lublinie, lub Siedlcach, tamtejsi znów włóczą się po jarmarkach, po małych miasteczkach i osadach — więc konkluzja prosta, że nasi żydzi wiedzą to, co i zagraniczni, którzy, jak wiadomo, wszystko wiedzą i trzęsą... całym światem...

— Eh, panie, przez takie etapy, to wiadomość, zwłaszcza w obec telegrafu i poczty, niebardzo może być świeża.

— Zwracam uwagę pana, że nie wszystko dobre, co świeże.

— Ale też i nie wszystko, co nieświeże, jest dobre...

— O co się panowie spierać macie? — wtrącił gospodarz — tym sposobem oddalamy się tylko od przedmiotu, który przecież nas tak blisko obchodzi; — wspomniał pan Łukasz, że są jakieś znaki, zapowiadające dla nas pomyślniejsze wieści, niechże nam z łaski swojej opowie, co to mianowicie za sygna.

— Opowiedz, sąsiedzie, opowiedz! — zawołano chórem.

— Kiedy powiadacie, że moje wiadomości są stare...

— Sam przed chwilą mówiłeś, że nie wszystko dobre, co świeże...

— Nie dajże się prosić, sąsiedzie!

— No dobrze, kiedy już tak koniecznie chcecie, to powiem, zastrzegam sobie tylko, żeby mi nie przerywano.

— Ani słowem.

— I żeby się nie śmiać, gdyż chociaż to, co wam powiem, wydać się może śmiesznem, jest ono jednak w gruncie rzeczy prawdziwem. Ja to obserwuję już bardzo dawno, i podzielę się z wami moim sekretem...

— Słuchamy! słuchamy!

— Otóż od czasu jak sprzedaję zboże, a sprzedaję już nie pierwszy rok, zawsze obserwuję naszych kupców zbożowych i sposób w jaki noszą czapki...

— Czapki?!

— Obiecaliście nie przerywać mi. — Tak jest: czapki. Żyd każdy, a szczególnie taki który zbożem handluje, ma dwojaki sposób noszenia czapki, to jest, że albo ją nasuwa na czoło — albo też zsuwa całkiem na tył głowy; to dzieje się stosownie do cen zboża; jeżeli ceny stopniowo spadają, czapka nasuwa się na oczy, aż wreszcie zjeżdża na sam nos. Przeciwnie, gdy ceny w górę idą, czapka także wędruje do góry, odkrywa zupełnie czoło i ledwie się trzyma na jarmułce. Może was to dziwi? Mnie nie, albowiem jest to rzecz zupełnie naturalna. Żaden z tych kupców nie jest właściwie kupcem, wszyscy są tylko pośrednikami — dla nich więc, im lepsze ceny, tem lepszy interes, gdyż więcej mogą zarobić. Przytem puszczają się oni z drobnemi kapitałami na kupno zboża na pniu — otóż, gdy cena niska, mogą stracić, a przytem w obec niskich cen i między nami chęć do sprzedaży niewielka i obroty mniejsze i procent faktora mniejszy. Wtenczas, naturalnie, czapki idą na oczy, na nosy — a smutek do serca. W przeciwnym zaś razie, czapki w górę!

— Wiesz pan co, — to może racja!

— I jest racja; bez najmniejszej kwestji, rzecz to, albowiem, całkiem naturalna.

— A jakże teraz czapki stoją, panie Łukaszu, gdyż ja nie obserwowałem wcale?

— Górę idą! w górę! ledwie się na czubkach głów trzymają — żebym tak pociechy z dzieci doczekał!

— Dobra nasza! wytchniemy przynajmniej, gdyż w zeszłych latach wzięliśmy takie cięgi, że aż się zimno robi na samo wspomnienie.

— Z tem wszystkiem, aczkolwiek pogląd pana Łukasza, co do owych czapek, ma za sobą niejakie pozory szłuszności, jednak ja jeszcze nie widzę stanowczego dowodu, że się nasza smutna dola polepszy — rzekł ktoś z gości.

— Bo nie znasz pan dobrze sytuacji.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Teatr — koncerta — widowiska.

— *Gasparone*, komicz. oper. w 3 aktach

Po długiej posusze ujrzeliśmy nareszcie nową operetkę, i musimy przyznać, nic n

zwłoce nie straciliśmy, bo operetka cacko, a graną była proszę siadać. — Brawo i jeszcze raz brawo — jednakże musimy, jako sprawozdawcy dać i treść, aby i czytelnicy nasi poznali i osądzili. I tak, sala szczelnie napełniona, bije 7 godzina, orkiestra pod dzielną batutą pana Jareckiego zaczyna uwerturę — kurtyna idzie w górę i widzimy:

Akt I. Tutaj p. Kiczman coś śpiewa, za chwilę pokazuje się nam p. Bandrowski ziewający — biedak nie wyspał się — od nich dowiadujemy się — czego to się dowiadujemy — aha, że obaj udają rozbójników, aby im nie przeszkodzono w przemycaniu towarów — a jeden z nich, to już p. Bandrowski, udaje Gasparona, figlarz — po chwili wchodzi p. Skalski — gotujemy usta do uśmiechu, a dłoń do brawa — ale ciężką miał przeprawę, musiał nam basem i sopranem opowiadać, że jako podesta musi złapać Gasparona tego rozbójnika. — Tu strzały i krzyki – wchodzi pani Skalska, i ta nam ślicznem swoim głosikiem opowiada, że to ją zbóje chcieli porwać — ale od czegoż p. Frorjański, ładny i przystojny, od tego naturalnie, aby płeć piękną bronił, tak też i uczynił, za cośmy mu bardzo wdzięczni — wchodzi, wreszcie, pani Kasprowicz — także odbita od zbójców — ale bez humoru, ponieważ zbóje tym razem nie okazali się bynajmniej dla niej niegrzecznymi, a wódz ich dał nawet dukata, — jaki hojny w takie ciężkie czasy. Pan Fontanna chce się żenić z panią Skalską, ale p. Florjański ma fortele i także się chce żenić. — Na fortelach tych źle wychodzi p. Fontanna.ponieważ go Gasparone łapie i żąda od niego okupu. —

Akt II. Pani Skalska zgodziła się dać okup za swego narzeczonego — (nie sztuka mając milion) — i oczekuje jego przybycia, w tym czasie pani Kasprowicz przypomina sobie aferę ze zbójami, i słusznie rozpacza śpiewając: „Ach nie ma dziś już mężczyzn“ Wreszcie dają znać i, że więzień uwolniony — i przynosi tę wiadomość śliczna zawsze panna Praun, której p. Bandrowski jako mąż robi niesłuszne wyrzuty, bo jeżeli mu sama mówi, że nie mogła widzieć, kto ją całował ponieważ:

„Noc czarna skryła świat
Gwiazd nawet promyk zbladł...“

no więc, jak było ciemno, jakże mogła widzieć? Wreszcie p. Florjański wchodzi oknem — jak to dawniej nizkie były okna, zamyka drzwi i kradnie (przepraszamy za wyrażenie)... ten posagowy milion.

....Fe! niespodziewaliśmy się tego po panu Florjańskim — cóż robić stało się. Następują biegania, awantury, pogonie — ale zamiast złodzieji przychodzi p. Fontanna puszczony od zbójów. Pani Skalska niechce powiedzieć, kto jej skradł milion — wszyscy ją opuszczają czem się ogromnie martwi — i

Akt III. Otóż, teraz sęk, jak tu wybrnąć — oho — szukają złodzieja — ale kto szuka? naturalnie, ktoby, jak niedowcipny p. Skalski — Podczas szukania p. Bandrowski ślicznie śpiewa walczyka w którym, tłumaczy przyjemności męża, jeżeli żona ma przyjaciela. — Gasparone opuszcza wyspę, zwracając posag i okup; p Florjański już, jako hr. biażeni się z panią Skalską. Pan Fontana osiada na lodzie — panna Praun śpiewa „Torantelle“, ale czy to Tarantellas, nie wiemy. — Kurtyna spada. — Brawo — wszyscy zadowoleni. — Publiczność — dyrekcja — reżyserja — artyści — tylko jedne panny wychodząc z teatru nuciły żałośnie: Ach niema dzisiaj mężczyzn już“ —

Pick.

Tajemnica grobowca.

POWIEŚĆ

KSAWEREGO MONTEPINA.

(Ciąg dalszy. (Patrz dod. do nru. 25go).

Fałszywy opat udał się po wskazanych schodach i zatrzymał się przed drzwiami, oznaczonemi nr. 17.

Zapukał.

Drzwi otworzyły się do połowy.

Ukazał się w nich człowiek lat pięćdziesięciu pięciu, ale wyglądający daleko starzej. Włosy miał kędzierzawe i białe, jak śnieg.

Zobaczywszy księdza, cofnął się o krok, twarz jego wyraziła zdziwienie, a nawet obawę.

— Czy się pan nie myli? — wyszeptał.

Z uśmiechem odpowiedział opat:

— Zdaje mi się, że nie; potrzebuję się widzieć z panem Juliuszem Termitt.

Głos usłyszawszy, starzec krzyknął radośnie, a wyraz twarzy zmienił mu się zupełnie.

— Verdier — wyrzekł, wyciągając obie ręce do gościa.

— Nieostrożny jesteś! — odezwał się — Nazwiska Verdier nie wymawia się tak jak i Piotra Lartigue, nazwiska twego!

— Masz słuszność! ale cóż chcesz? Tak się ucieszyłem, że cię znowu widzę po latach pięciu, żem zapomniał o wszelkiej ostrożności. Nie spodziewałem się wcale twoich odwiedzin.

— To ty nic niewiesz? — spytał szeptem Verdier.

— O niczem niewiem — odrzekł Piotr Lartigue niespokojnie. — Czy stało się coś nadzwyczajnego?

— Można tu mówić bezpiecznie, nikt nie usłyszy?

— Można. Sam tutaj mieszkam. Chodźmy do pokoju sypialnego, tam ściany grube.

Lartigue zaprowadził gościa do sypialni i zamknął drzwi.

— Tutaj mówić możesz swobodnie, rzekł. — Zapytałeś mnie, czy o niczem nie wiem, a więc coś zaszło niedobrego...

— Tak. Sprowadza mnie tutaj rzecz bardzo poważna.

— Mówże prędzej.

— Byłeś wczoraj na cmentarzu?

— Byłem.

— O której godzinie?

— O wpół do piątej nie nadługo przedtem, jak cmentarz zamykają.

— Wchodziłeś do grobowca Curadosów?

— Nie.

— Dla czego?

— Dla tego, żem nie mógł drzwi otworzyć. Klucz nie pasował. Myślałem, żeś kazał zamek zmienić, stosownie do otrzymanych poleceń. Czekałem zawiadomienia.

— Nie zauważyłeś nic szczególnego wokół grobowca?

— Nic zgoła. Powietrze było chłodne. Zmrok zapadał. Cmentarz podobny był do rozległej pustyni!

XIX.

Verdier więcej ma wiadomości.

Fałszywy ksiądz pytał dalej:

— Czy niebył u ciebie w nocy, albo dziś zrana wysłaniec z Londynu?

— Nie widziałem nikogo — odpowiedział Lartigue. — Ale wiesz co, ty naprawdę zaczynasz mnie niepokoić swemi dziwnemi pytaniami i miną tajemniczą. Co się stało? Mów ze mną otwarcie.

— Stało się to — odrzekł przybysz, zniżając głos — że ktoś zauważył miejsce, gdzie kładliśmy korespondencję naszą i teraz człowiek ten zna tajemnice nasze, a przynajmniej tę, która dotyczy sprawy londyńskiej.

— Czy to kto z policji? — wyszeptał Lartigue, zmarszczywszy brwi.

— Nie. Uspokój się. Gdyby policja zajmowała się nami, zarazbym cię prosił ulotnić się. Tajemnicę naszą posiadł jakiś łotr zręczny i śmiały. Ażeby zabrać sto tysięcy franków i papiery, które ja tobie przysłałem, nie cofnął się przed zabójstwem.

— Zabójstwem! — powtórzył starzec przerażony.

— Tak, nie zawahał się zamordować kobiety, której polecono przynosić papiery, otrzymane przezemnie na cmentarzu.

Lartigue zadrżał całem ciałem.

— Jenny Stahl zabita! — wykrzyknął po chwili.

— Zabita w grobowcu Curadosów. Widziałem trupa w chwili, gdy wyłamywano zamek u drzwi żelaznych i kiedy komisarz policyjny przyszedł na śledztwo.

Lokator hotelu Niderlandzkiego załamał ręce i z bolesną miną wzniósł oczy do sufitu.

Verdier mówił dalej:

— Dziś rano zbrodnię odkryli robotnicy kamieniarscy.

— Jakim sposobem?

— Szli przez aleję, ciągnącą się obok grobowca Curadosów. Krew wydostała się pode drzwiami i zawalała śnieg. Pobiegli do nadzorcy cmentarnego, a ten posłał po komisarza.

— Jakim przypadkiem byłeś tak wcześnie na cmentarzu?

— Wcale nie przypadkiem. Dziwiąc się i trwożąc, iż Jenny nie wróciła wczoraj wieczorem, udałem się na cmentarz Père Lachaise o godzicie ósmej.

— Jenny miała z sobą ważne papiery?

— Tak.

— Jakie?

— Zlecenia, jakie tobie przesełałem, i sto tysięcy franków biletami bankowemi.

— A co się stało z listem, położonym dnia poprzedniego w sanctissimum ołtarza?

— Zabrano go z innymi. Zaglądałem do grobowca; sanctissimum było otwarte i puste.

— A ten wysłaniec z Londynu, o którym mówiłeś?

— Zawiadomiłem cię o jego przybyciu, mającem nastąpić o pierwszej w nocy wczoraj. Przywieźć miał z sobą papiery, dotyczące spadku Armanda Darvilla, które bezwątpienia musiały wpaść w nasze ręce.

— Dotyczace spadku? — powtórzył Latigue.

— Tak.

— Dużego?

— Dwanaście milionów i kilka kroć stotysięcy franków.

— O! do djabła!

— Ładny kąsek, nieprawdaż?

— Królewski kąsek! I nie widziałeś tego wysłańca?

— Nie.

— Cóż się z nim stać mogło?

— Zabójca Jenny Stahl może przywłaszczył sobie i tę tajemnicę.

— Tak sądzisz?

— Tak, i to wydaje mi się dość prawdopodobnem.

— Któż to może być ten łotr?

— Głowę sobie łamałem, ażeby odgadnąć, ale nie mogłem niczego się domyślić.

— Czy nie zdradziła nas Jenny?

— I to przychodziło mi do głowy, alem prędko tę myśl odpędził. Głupio byłoby podejrzywać Jenny o zdradę. Biedna kobieta przyjechała z Londynu kilka dni temu i nie znała nikogo w Paryżu.

— Przytem śmierć jej gwałtowna dowodzi widocznie, że była ofiarą, a nie wspólniczką.

— Czy jej nie śledzono od wyjazdu z Londynu?

— Michał Bremont używał tylko ludzi zaufanych.

— A tyś nie popełnił jakiej nieostrożności?

— Śmiało mogę odpowiedzieć, że nie. Z nikim nie mam stosunków i całemi dniami zapoznaję się z Paryżem, w którym nie byłem już od lat dwudziestu, a który przez ten czas zmienił się zupełnie. Słowem za siebie ręczę. Ale wróćmy do tego, co nas tylko co zajmowało, do wysłańca z Londynu.

— Jego podejrzewać nie można, bo to jest *czwarty z pięciu*, Gustaw Perrier, inaczej Jonathan Waildes.

— To jednak pewne, że Jenny Stahl śledzono.

— Prawda, ale tego nie mogę żadną miarą zrozumieć.

— Słowem, w niebezpieczeństwie jesteśmy. Lada chwila policja zacznie nas szukać

Verdier pokręcił głową.

— Z tej strony niema się czego lękać — rzekł — nas się domyślić niepodobna. Ale mordercy zaczną szukać...

— A jeżeli kiedy go pochwycą, znajdą przy nim skradzione papiery — przerwał Lartigue — i będziemy skompromitowani.

— Przynajmniej to możebne, ale zdaje mi się, że łatwo nam się uchronić od wszelkiego niebezpieczeństwa.

— W jaki sposób?

— Mnie odnaleść nie podobna. A ty zmień mieszkanie i nazwisko. Musisz przecie mieć paszport bez wpisanego nazwiska.

— Pół tuzina rozmaitych narodowości, dobrze... zostanę Holenderczykiem.

— I zamiast mieszkać w hotelu, mówił dalej Verdier — kup sobie albo wynajmij dom, umebluj go i żyj spokojnie w oczekiwaniu na rozkazy Michała Bremont, do którego ja napiszę o tem, co się stało, ażeby miał się na ostrożności i ułożył nowy plan, bo ten, który nam przysłał, na nic się nie przyda.

— No, przyznać trzeba — wyjąkał Lartigue — że znaleźliśmy jegomościa jeszcze sprytniejszego od nas, chociaż przez lat dwadzieścia pięć, ani razu nie doznaliśmy niepowodzenia! To upokarzające!...

— E! możemy to sobie jeszcze powetować.

— Co uczynią z ciałem Jenny Stahl?

— Odniosą do Morgi.

— Jak myślisz, mogą ją poznać?

— Jakim sposobem, kiedy w Paryżu nikt nie zna Jenny. Nie to mnie martwi.

— A co?

— Gustaw Perrier. Nie był u ciebie ani u mnie, chociaż ciebie nie zastał na kolei północnej, gdzie, jak do ciebie pisałem, miałeś na niego oczekiwać. Gdzie się podział? Czy go nie zamordował także zabójca z cmentarza Père Lachaise?

— Co za szalone przypuszczenie — zawołał Lartigue.

— Nie tak znów bardzo, jak myślisz. List, skradziony biednej Jenny, wskazywał godzinę przyjazdu, powierzchowność wysłańca i napomykał o wielkiej wadze tajemnicy, którą tenże wiózł z sobą. Im bardziej się zastanawiam, tem prawdopodobniejszem mi się wydaje, że morderca Jenny zasadził się i zabił Gustawa.

— Ale kto być może ten zabójca?

— Jakiś bardzo zręczny człowiek, i mogę ci zato ręczyć, że nie pierwszy to jego debiut w tym zawodzie.

— Policja wypuści zaraz wszystkie swe wyżły.

— Dużo z nim będą mieli do roboty, on, jak się zdaje, niezwykły ma spryt.

— A gdybym ja go miał w ręku! — rzekł głuchym głosem Lartigue, a oczy mu się zaświeciły pod brwiami — załatwiłbym się z nim prędko. Własnemi bym go rękami zadusił?

— Uspokój się — wtrącił Verdier z uśmiechem. — Uspokój się.

— Czy można być spokojnym, słysząc o dwunastu miljonach?... Dwanaście miljonów, podzielonych na pięć części... Około półtrzecia miljona na każdego. To byłby już nasz ostatni interes. Wszystkichby nas wzbogacił i pozwolił spokojnie spędzić resztki życia w zgodzie z całym światem, nie lękając się policji... Pomyśleć o tem i być spokojnym niepodobna!...

— A ja myślę o tem i spokojny jestem. Po co się gorączkować mój drogi? Gniewać się niema czego, a trzeba się mieć na baczności i pilnować. Nie możemy działać użytecznie, póki nie poznamy naszego złodzieja.

— Ale, czy go kiedykolwiek poznamy?

— Niezawodnie.

— O! gdybym mógł mieć jakąkolwiek nadzieję?

— Możesz.. powinieneś... inaczej być nie może.

— Z czego przypuszczasz, ażeby człowiek ten, który ci się wydaje tak sprytnym, mógł siebie zdradzić?

— Zdradzi się, pomimo całego sprytu swego, bo zostawszy panem tajemnicy, zechce z niej wyciągnąć korzyści, jeżeli tylko nie poprzestanie na 100,000 franków, skradzionych w grobewcu i nie spali innych papierów. W takim razie, to prawda, że nie poznamy go nigdy, ale nie będziemy potrzebowali go się obawiać, i sprawa o dwanaście miljonów pójdzie swoim porządkiem. Michał Bremont, dowiedziawszy się o tem, co się stało, rozważy położenie sprawy i wyda rozporządzenia.

W tejże chwili ozwał się dzwonek.

Oba mówiący drgnęli i bystro spojrzeli na siebie.

— Kto może dzwonić? — zapytał Verdier.

— Może służący — odpowiedział Lartigue.

— Trzeba zobaczyć!

— Zaraz pójdę.

Dzwonek znów się odezwał, ale głośniej niż poprzednio.

— Ho! ho! — wyjąknął fałszywy opat — widocznie komuś bardzo pilno.

Jednocześnie ręka jego ujęła za rewolwer, schowany w szerokiej kieszeni sutanny.

— Miej się na baczności — dodał widząc, że Lartigue idzie do drzwi. — Strzeż się!

— Czego — odpowiedział starzec. — Mnie po dwudziestu pięciu latach nie można poznać. Przytem Juljusz Termitt, poddany belgijski, nie może się niczego obawiać od policji francuzkiej!

XX.

Sam do jaskini.

Zadzwoniono trzeci raz i jeszcze mocniej.

Lartigue wyszedł z pokoju sypialnego i w pierwszym pokoju otworzył drzwi od sieni.

Na progu stał Maurycy Vasseur. Ukłonił się.

Na widok nieznajomej twarzy, Lartigue powtórzył zdanie, jakiem powitał przed półgodziną swego pierwszego gościa:

— Czy się pan nie mylisz?

— Nie odpowiedział, Maurycy najspokojniejszym tonem — jeżeli tu tylko jest numer 17, i jeśli mam zaszczyt mówić z panem Juljuszem Termitt z Brukselli...

— Jestem rzeczywiście Juljuszem Termitt — odrzekł Lartigue, patrząc ze zdziwieniem na gościa, bo coraz większego nabierał przekonania, że widzi go po raz pierwszy.

— Mogę pana prosić, szanowny panie, o chwilkę rozmowy — ciągnął dalej Maurycy — mam do pomówienia z panem w bardzo ważnym interesie.

Nieufność w mniemanym Termitt wzmogła się jeszcze bardziej. Czem prędzej też odpowiedział:

— Zachodzić tu musi jakieś nieporozumienie, bo ja żadnych interesów nie mam w Paryżu. Podróżuję dla przyjemności, i jeżeli nie jest pan przysłany przez kogo z moich przyjaciół bruksellskich, to nic nie mogę się dowiedzieć do pana. Zapewne w nazwisku jest jakaś omyłka.

Maurycy pokręcił głową.

— Omyłka w nazwisku — powtórzył — nie ma omyłki żadnej. Szukam pana, ponieważ pan jesteś Juljuszem Termitt, a przysyła mnie do pana jeden z pańskich przyjaciół.

— To musi pan mieć list od tego przyjaciela?

— Nie, nie mam.

— No, jeśli tak... — pochwycił Lartigue.

— Niech pan poczeka tylko — przerwał Maurycy — dość mi będzie powiedzieć panu kilka słów, ażeby pana przekonać. Przychodzę do pana od „czwartego z pięciu", wysłańca londyńskiego.

C. d. n.

Z całego świata.

W Rock Springs, w terytorjum Wyoming biali robotnicy w kopalniach urządzili rzeź pomiędzy robotnikami chińskimi. Chińczyków było tam około 500, a że kontentowali się daleko niższą od białych robotników płacą — ściągnęli na siebie nienawiść, która zeszłego tygodnia, tak smutne pociągnęła skutki. Z rewolwerami w ręku biali wpadli do mieszkań chińskich, wypędzili wystraszonych, a gnając ich przed sobą strzelali do nich. Dwudziestu pięciu zostało na miejscu i prócz tego bardzo wielu rannych, którzy także umrą. Zapędziwszy ich w góry wrócili do Rock Springs i spalili całą dzielnicę chińską przeszło 100 domów, zabijając jeszcze tych Chińczyków, którzy po domach się ukryli. chińczycy nieśmią wyjść z gór, bo natychmiast do nich strzelają — ale jenerał Schofield otrzymał rozkaz do przyjścia im z pomocą ze swym oddziałem i w kilka dni będzie na miejscu. Podobne wypedki nie bardzo pochlebnie świadczą o naszej tak wychwalonej cywilizacji dziewietnastego wieku!

Nowiny literackie i artystyczne.

Z dniem 1. Października zaczęło wychodzic pod redakcją p. Przyborowskiego w Warszawie pismo codzienne p. t. Chwila. O tendencji tej gazety nie można nic powiedzieć, bo numer okazowy i pierwszy, pod względem właściwej tendencji, jest ogólnikowy — zresztą o tendencji w Warszawie można tylko dużo mówić — pisać zaś tyle, ile cenzura pozwoli. —

„Rany Europy" wyszły obecnie w tekście polskim w Poznaniu w komisie W. Simona 1885. z dodatkiem: Ludność narodu polskiego. Jest to dopełnienie dzieła pod tytułem: „Ameryka i Europa." W obu tych pracach fakta i liczby przedstawiają przerażający stan społeczeństwa na starym lądzie pod względem moralnym, politycznym i finansowym.

Gospodarstwo miejskie i wiejskie.

— Sprzęt ziemniaków w Anglji wypadnie w tym roku znacznie gorzej, niż w roku zeszłym i prawdopodobnie potrzebny będzie większy dowóz z zagranicy. Do redakcji czasopisma: "Mark Lanc Expres", nadesłano 461 sprawozdań, w których nazwany jest tegoroczny sprzęt 26 razy „więcej jak średni", 168 razy „średni" w 226 razy „gorzej, niż średni"; w 339 sprawozdaniach oznaczone są ziemniaki, jako zdrowe. w 71, jako mniej więcej chorobą dotknięte. W roku zeszłym oceniony był sprzęt w 95 spawozdaniach, jako „więcej niż średni", w 337, jako „średni", a w 70, jako „gorzej niż średni".

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. M. w Z. Listownie odpowiedzieliśmy.

P. T. we L. Noweli drukować nie będziemy — rękopism odesłaliśmy.

PP. Autorom wierszy: „Ptaszkowie leśni", „Precz z postępem" i „Djabeł nieśpi", — utwory panów drukowane nie będą.

P. Z. we L. Nadesłanych szczegółów o „Narodowej cioci" zużytkować nie możemy, gdyż są zbyt osobiste.

SPECJALNY HANDEL
naturalnych
HEGELAJSKO-TOKAJSKICH
WIN

K. F. POPOWICZA
w TARNOPOLU.

Poleca oprócz wysełek pocztą w 5 klgr. beczułkach i wysełki wina koleją w większych beczkach, które od pocztowych wysełek przez drogie porto pocztowe, koszta beczułek i akcyzę od wina, koleją w większej ilości wysłane wina, o 30% taniej kosztują, po następujących cenach.

Ceny loco kolej Tarnopol franco beczka.

1 Beczka zawierająca około . .	32 liter		66 liter		135 liter	
kosztuje	Złr.	ct.	Złr.	ct.	Złr.	ct.
1 „ Wina Hegelai stołowe . .	12	50	22	50	40	—
1 „ „ „ lepsze	15	—	27	—	50	—
1 „ „ „ wytrwawne	19	—	35	—	65	—
1 „ „ cięższa z bukietem	22	50	40	—	75	—
1 „ „ Samorodne aromat.	28	—	52	50	100	—
1 „ „ Samorodne aromat. słodkawe	34	—	62	50	120	—
CZERWONE WINO.						
1 Beczka Visontai z roku 1882	17	—	30	—	55	—

Kupując wina osobiście u producentów i za gotówkę zaręczam za natur lne, smaczne i lepsze a tańsze jak nawet z Węgier sprowadzane.

Szczególnie polecam jako dobry chrześcianin, Wielebnemu Duchowieństwu moje naturalne wina do użytku przy Mszy Świętej, i proszę o łaskawe zamówienia.

Przy zamówieniu proszę o ¼ część zadatku. 2486 1—0

Antoniego Drehera

PIWIARNIA SZWECHACKA

„HOTEL FRANCUSKI"

Lwów, plac Marjacki l. 5, od 15. wrześuia b. r.

poleca:

1 flaszka ½ litrowa piwa wystałego . . . . 14 cnt.
1 flaszka ½ litrowa piwa Bock . . . . 20 cnt.

Z głębokim szacunkiem

ZARZĄD.

Najpraktyczniejsze

maszyny do wykopywania kartofli

polecają 2527 1—6

CLAYTON & SHUTTLEWORTH

we **Lwowie**, przy ulicy Gródeckiej l. 22.

Ilustrowane katalogi gratis i franco.

Adwokat Dr. Skowroński

przeniósł swą **kancelarję** napowrót do kamienicy JW. hr. Komorowskiej, ulica Jagiellońska l. 12. 3806 1—4

NARODNA TORHOWLA

we Lwowie

(w kamienicy Narodnego Domu w okalu przedt. O. T. Wincklera)

z filiami swemi

w Stanisławowie, Przemyślu, Tarnopolu i Drohobyczu

poleca ze swoich bogato i w dobry towar zaopatrzonych składów:

Kawę w woreczkach 5-kilowych franko po 6.70, 7.60, 8.50. 9.20, 9.80, 10.40 zł.

Herbatę rosyjską firmy K. S. Popowych w oryginalnych paczkach funt po 2.80, 3.00, 3.40, 4.00, 4.40, 4·80 zł.

Wina węgierskie w baryłkach 4-litrowych, franco po 3·00, 3·30, 3·70, 4.10, 4·50, 4·90 zł. i wyżej, — we flaszkach węgierskie, austrjackie, francuskie.

Miód sycony flaszka 80 ct.

Świece kościelne ozdobne, z wyciskanymi kwiatami, para po 2·30, 4·60, 9·20, 14. — zł.

Wody mineralne.

Karty, Szczotki wszelkiego rodzaju, Masa do zapuszczania podłogi, Papier, pióra i inne przybory do pisania, Proszek na owady.

Sól kamienną dla bydła, i inne w zakres sklepu korzennego wchodzące artykuły.

Kosy 7 rączkowe wołoskie po 34 ct.
7½ „ „ 36 „
7 „ ruskie „ 36 „
7 „ wołoski brakowane . . 20 „

Rzezaki styryjskie . . . 56 „

Oryginalne

maszyny do szycia

SINGERA

na spłaty ratami

G. Neidlinger

Lwów, ul. Kopernika licnba 2.

Bracia Bilewsc dawniej J, Czynciel (syn) **Kraków Rynek 4.** handel istnieje od r. 1850. Polecają Szan. Publiczności swój obficie zaopatrzony **magazyn towarów galanteryjnych, skład rękawiczek, bielizny, wyrobów trykotowych, gorsetów, francuskich, płaszczy i poduszek gumowych, kaloszy rosyjskich i francuskich perfumerji.** Przyborów do podróży, koców i pledów angielskich, kufrów i torb recznych, kaftanów i spodni łosiowych, prześcieradeł i poduszek skórzannych, bandaży i wszelkich wyrobów rękawiczniczych. Zamówienia zamiejscowe uskutecznia się odwrotną pocztą. (3775—4—10)

FABRYKA PAROWA

Cykorji i surogatów kawy

ANTONIEGO ROZMANITA

w Rakowicach pod Krakowem.

KANTOR i SKŁAD

Kraków, ulica Florjańska

we własnym domu.

Nowo otworzona fabryka po wyższych wyrobów **na sposób zagraniczny** — towary w niczem zagranicznym nie ustępują **przewyższają** takowe tembardziej. że właściciel tej fabryki nie posługuje się żadnemi domieszkami i ingrendjencjami fałszywemi, tylko każdy towar chemicznie i urzędownie stwierdzony i uznany za **wyborny i zdrowy.**

(3736 5—10)

BOLESŁAW MIKULINSKI

krawiec męzki

we Lwowie przy placu Halickim liczba 12.

Poleca Szanownej Publicznosc swoją **pracownię i skład sukien męzkich.** które są na każdą porę roku obficie zaopatrzone w najgustowniejsze materje z pierwszorzędnych fabryk. Wykonuje wszelkie suknie męzkie, jak najstaranniej według najnowszej mody, w jak najkrótszym czasie, po cenach umiarkowanych. (3726 6—6)

Marceli Gettlich Skład mebli, luster, obrazów, oraz pracownia wyrobów stolarskich, rzeźbiarskich, tokarskich, skład trumien cynkowych, drewnianych i wypożyczalnia karawanu. **w Jaśle.** Wszelkie zamówienia uskuteczn a szybko i sumiennie Poleca się również do wykonania wszelkich rzeźb. (3780—4—2)

Józef Tilinger

introligator,

ulica Karola Ludwika l. 5. poleca swoją pracownię introligatorsko — galanteryjną i wykonuje wszelkio roboty w zakres introligatorstwa wchodzące. mianowicie: teki na dyplomy aksamitne i skórzanne i wszelkie inne oprawy książekod najskromniejszych do najwykwintniejszych, w większych ilościach znacznie taniej, wszelkie brozury, jak najtaniej oblicza, tak, że śmiało konkurować może z zagranicą. Ręcząc za dobroć materjału i wykończenie, uprasza o najliczniejsze zamówienia

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo: Stanisław Wuffka.

Z drukarni „Dzien. Pol." pod zarządem J. Mittiga.

Dodatek świąteczny z dnia 29. września 1885

do Nru 25. „Gońca Niedzielnego i Świątecznego.“

Skarga starego Djabła.

Ja — stary Asmodeusz — dawny wróg Cheruba,
Brat Mefistofila — a syn Belzebuba —
Teraz — kiedy lat brzemię cięży mi na grzbiecie,
Muszę państwu powiedzieć, co mnie strasznie gniecie.
Już od czasów Adama aż po dzień dzisiejszy,
Ludzie dręczą mnie w sposób, jak najpotworniejszy,
Biją na mnie, jak gdyby na puchacza kruki
Gdzie się w świecie co stanie — wszystko djabła [sztuki;
Tak, że niema na ziemi jednej ludzkiej winy,
Której by nieznaleźli gdzieś we mnie przyczyny —
I jeżeli z nich który cokolwiek przewinił,
Mogę przysiądz, że powie: to djabeł uczynił.
A choć w sposób okrutny tak mi spokój trują —
Djabeł nie taki czarny, jakim go malują.

* * *

Od nieszczęsnej historji z matką Ewą w raju,
Zwalać wszystko na djabła u ludzi w zwyczaju.
Byłem wężem podówczas — i pełzałem w trawie,
Lecz byłem obojętny zupełnie tej sprawie.
Czy ja winien, że rosły tam mądrości drzewa,
I że miała apetyt na jabłuszko Ewa?
Ale ludzie natychmiast ploteczkę zrobili,
Że to ja — korzystając z jej słabości chwili,
Namówiłem do złego — ot — niby przez psotę.
I że ja ludziom szkodzić mam zawsze ochotę.
O obrazę honoru chciałem ich oskarżyć,
Ale cóż?... prokurator nie chciał na to zważyć —
I mą skargę odrzucił! — Bo powiedzcież przecie:
Niedorzeczniejszego, cóż kto słyszał w świecie,
Żeby Ewa mając tak młodego męża
Dała się skusić wpływem czyimś?... jeszcze węża?!...
Toż gdy Cherub przyleciał z płomienistą szablą —
Adam Ewie wyprawił scenę istnie djablą.
I wymówki jej czynił, aż się z gniewu krztusił —
Ona rzekła z pokorą: „to djabeł mnie skusił.“
Tak to ludzie mi zawsze reputację psują,
A djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Po tym strasznym skandalu intryg mnóstwo było,
Aż nareszcie na djable wszystko się skrupiło.
I Najwyższy Trybunał, z urzędu swojego
Wydał wyrok okrutny na mnie niewinnego!...
Próżno potem w procesie wezwałem na świadki
Wszystkie ptaki, zwierzęta, owady i kwiatki.
Wyrok wydał Trybunał okropnej osnowy.
(Ale wyrok niesłuszny — to objaw nie nowy)
Otóż rzekł: że djabeł wszystkiemu jest winien,
Adam z Ewą współwinnym tylko być powinien
Więc oni za to jabłka żarłoczne zjedzenie.
Mają w inną część ziemi iść na osiedlenie.
Zaś na djabła jest wyrok na wieki wydany,
Że tylko ten dar z ziemi będzie mu oddany,
O którym ów ród ludzki — tak w gniewie zażarty
Powie w złości te słowa: „niech to wezmą czarty.“
Ja ten wyrok przyjąłem, choć łzy gorzkie trują,
Bo djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Oj! ten wyrok!... djabelnie daje mi się w znaki!
Lat tysiące się ze mnie śmieje, jaki taki...
Czyż by ludzie nic w świecie lepszego niemieli
Nad to o czem wciąż mówią: „djabli by to wzięli!“
A jednak ściśle biorąc, nie ma rzeczy w świecie
Której by mi niebyli choć raz dali przecie...
Ja to chwytam z zapałem —.jak skarby otwarte.
Ale zawsze poznaję — że to... djabła warte...
Ja — król piekieł — bym pragnął także c egoś użyć
I jakim darem ludzkim piekłu się przysłużyć,
Ale w takich warunkach — już ja dobrze czuję,
Że wkrótce z całym kramem w piekle zbankrutuję. —
Jednak ludziom nieszkodzę, choć mi spokój trują,
Bo djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Po ewej wielkiej, słynnej żegludze Noego,
Ludzie raz mnie wciągnęli do kółka swojego.
Ojciec Noe, z potopu — gdy umknął na arce,
Zaczął jakieś wyprawiać czysto ludzkie harce.
A zbadawszy, że z pięknej latorośli winnej
Można — oprócz owoców — dobyć siły innej,
Siły — dotąd z winogron nikomu nieznanej,
Ale za lat tysiące: szampanem nazwanej.
Otóż Noe z tej latorośli jakiś napój stworzył
I jak dzieje dziś twierdzą — za wiele zeń spożył.
Chciał przypadek — że Noe — gdy płynu próbował,
Mnie zaprosił do uczty abym pokosztował.
Piliśmy dzień całutki, a przebrawszy miarki,
Z Noem poszliśmy oba przespać się do arki,
Jam mu li towarzyszył. — Wino rozweselа,
Alem go nienamawiał, by się spił, jak Bela.
Wnet mnie też obmówiono! I wynikło z tego,
Że choć współbiesiadnikiem li byłem Noego,
To syn jego Cham — ojciec snać chamskiego rodu,
Z Ojca zaczął żartować wśród swego narodu,
I przed swojem rodzeństwem jakieś baśnie stroił,
Że to ojca Noego tak djabeł upoił,
Cóż mam czynić? — Mnie ludzie zawsze prześladują,
A djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Później znów cezar rzymski zaprosił mnie w gody.
Do bankietu zasiadły rozliczne narody.
Cezar rzekł: „by ród ludzki mieć zawsze w swej [mocy.
Trzeba uczty, zabawy wyprawiać do nocy —
Lud zabawiać, upodlić, zgłuszyć śród hałasu
I do innych mu myśli niezostawiać czasu.
Były orgie, hulanki — Rzym stary upadał,
Ale wieszcz był, co dziejów brzegi przyszłe badał,
A ujrzawszy, że rzymscy cesarze skarleli,
Pierwszy krzyknął: „Rzym stary niechby djabli [wzięli..“
Ja — wyrok Trybunału wciąż mając na oku,
Korzystając w tej chwili z danego wyroku
Carstwo rzymskie schwyciłem — jak gracz chwyta [kartę...
Ale cóż?... Funta kłaków już nie było warte!
Tak to ludzie mnie zawsze oszukać próbują,
A djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Jam przed laty cesarza znał Napoleona.
Była to postać wielka, urocza, natchniona.
Mówił: że nowe wytknął dla ludzkości szlaki,
Że w obec niego każden naród jest jednaki.
Siebie mienił ową pochodnią ludzkości,
Za którą każdy naród dąży ku przyszłości...
I tak czysto francuskie ciągle prawił blagi,
By mu niewierzyć — na to nie miał nikt odwagi.
Spotkał był na swej drodze naród wielki, dzielny,
Ale zgnękany, bo go przygniótł wróg śmiertelny.
Naród, który się rozsiadł u Dniepru i Wisły;
Wmówił w niego, że zorze przyszłości mu błysły,
I że wolność wydarta będzie mu zwrócona,
Był e ślepo uwierzyć chciał w Napoleona.
Łudząc tak obietnicą pan Francji nieszczery,
Naród wiódł do Afryki, Rosji, Sammo-Sierry.
Aż gdy krwi zeń wysączył nareszcie do syta —
Rzekł mu: „wracaj w kajdany, bo już z nami kwita!“
Długie lata minęły odkąd grom uderzył, —
Biedny naród we Francję ciągle jeszcze wierzył,
Aż dziś w srogiej rozpaczy, przez wrogów rozdarty,
Krzyknął nareszcie: „niechaj Francję porwą czarty!“
Ja to słysząc — wnet Francję przyciskam do łona
Bo sądziłem, że znajdę w niej Napoleona.
I wyrok Trybunału wnet wykonam cicho,
Lecz cóż — w Francji zastaję... republikę lichą.
Tak to ludzie na wszystkiem mnie wciąż oszukują,
A djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Niemogąc się więc nigdy niczego dochować,
Po Galicji zacząłem z rozpaczy buszować.
Widząc, że autonomja tam władzę roztacza,
A jej owoc niejeden dla djabła przeznacza;
Jeśli gdzie, to tam przekleństw słyszałem niemało
I w Galicji zagrabić wiele się udało...
Mam więc w piekle dziś: mosty popsute, dziurawe,
Złe gościńce, brak światła, dzienniki plugawe,
Zgromadzenia, wybory, burdy i sejmiki,
Księży nie do ołtarza, lecz do polityki;
Brak rolników, natomiast, mnogość adwokatów,
Na każdą synekurę mnóstwo kandydatów,
Krocie żydów, bankierów, różnych wichrzycieli,
I wszystko o czem mówią „djabli by to wzięli“
Lecz z tem wszystkiem przyszedłem do straszliwej [nędzy
Bom z Galicji wziął wszystko, z wyjątkiem pieniędzy...
O tych tam ludzie pewnie nigdy niesłyszeli,
By je mógł djabeł zabrać... Już je żydki wzięli...
Toż się na moje losy muszę gorzko żalić...
Wszak już niemam dziś w piekle za co w piecu [palić...
Na domiar przez te wszystkie zdobycze rozliczne
Całe piekło się stało dziś — autonomiczne.
Oj ci ludzie gdzie mogą, tam mi wszystko psują,
A djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

* * *

Nauczony nareszcie tą smutną praktyką,
Raz na zawsze już rozbrat wziąłem z polityką.
I zacząłem zajmować się mą własną sprawą,
Wszak o sobie pomyśleć mam nareszcie prawo...
Otóż, państwu powiedzieć coś muszę w sekrecie —
Wy mego zaufania nie zdradzicie przecie?
A więc wyznam — żem pragnął — już mój stan [odmienić
I chciałem... (lecz to sekret...) chciałem się ożenić.
Lecz wyrok Trybunału chociaż trwa w swej mocy,
W sprawie mego małżeństwa nie mógł dać pomocy,
Bo ręczę, że do dziś dnia ludzie niesłyszeli,
By o pannie kto wyrzekł: „djabli by ją wzięli!“
A jeżeli o której słowo to słyszałem,
To wyznaję, ja .. djabeł... już jej wziąść nie chciałem...
A więc wyznam otwarcie, powiem sercem szczerem,
Wiecie państwo czem djabeł?... Starym kawalerem...
Jednak ludzie mnie czasem i w tem naśladują —
Więc djabeł nie tak czarny, jakim go malują.

Hr. S.

Tajemnica grobowca.

POWIEŚĆ

KSAWEREGO MONTEPINA.

(Ciąg dalszy. (Patrz Nr. 24 ty).

Część podłogi, na której stał człowiek w paltocie futrzanym, zwolna opuściła się z nim, jakby przy maszynerji teatralnej.

Klapa ta zatrzymała się dopiero wtedy, kiedy nad podłogą wystawała już tylko głowa nieznajomego. Wyciągnął rękę, łóżko przesunęło się na dawne miejsce i całkiem zakryło otwór.

Wówczas deska ruchoma zaczęła znowu się opuszczać i zatrzymała się po kilku sekundach, bez żadnego wstrząśnienia.

Głębokie ciemności otaczały nieznajomego,

Prawą ręką na ścianie, naprzeciw siebie, odnalazł guzik metalowy i nacisnął go mocno.

Dał się słyszeć suchy trzask.

Ściana przesunąwszy się otworzyła, jakby drzwi szaf i ciemności rozproszyły się przed światłem. Wtedy nieznajomy wyszedł z ciasnej komórki, w której się znajdował.

Deska, na którој się spuścił, podniosła się zwolna w górę i hermetycznie zamknęła otwór, już zasłonięty łóżkiem na górnem piętrze.

Wówczas nieznajomy zasunął ścianę, która się przed nim rozwarła. Znów rozległ się trzask głuchy i kiedy ściana zamknęła się, niktby się niebył w stanie domyśleć takiej maszynerji.

Nieznajomy znajdował się teraz o jedno piętro niżej od swego mieszkania, ale w tem samem skrzydle domu wychodzącego na bulwar Temple.

Osobliwszy był pokój, do którego się dostał w tak dziwny sposób.

Istny magazyn kostiumów teatralnych.

Ubrania wszelkiego rodzaju, od bluzy robotniczej do munduru senatorskiego i sutanny księżej, ohydne łachmany żebracze i nowy mundur oficerski, elegancka liberja lokaja z bogatego domu i wytworny ubiór modnisia jadącego konno do lasku bulońskiego, wszystko to wisiało tutaj na kołkach, wbitych w ścianie obok siebie.

W jednej z szaf znajdowały się peruki doskonale zrobione, jak najzupełniej naśladujące naturę.

W innej czapki, cylindry i kapelusze filcowe, kepi żołnierskie i oficerskie.

W mgnieniu oka nieznajomy zdjął swe ubranie i równie prędko włożył na siebie ubiór duchowny, uzupełniwszy go siwą peruką z tonsurą, oraz kapeluszem płaskim z szerokiemi skrzydłami.

Przebrawszy się tak, że go nie sposób było poznać, opuścił to mieszkanie i zeszedł o dwa piętra niżej, które go oddzielały od korytarza, prowadzącego na bulwar Temple z jednej strony, a z drugiej na ulicę Berangera.

W domu był odźwierny tylko od tej strony.

Nieznajomy udał się bulwarem; zeszedł ze schodów, znajdujących się naprzeciw teatru Déjazet, wsiadł do dorożki na placu Rzeczypospolitej i kazał się zawieść na ulicę Gramont; tu zapłacił dorożkarzowi, a sam skierował się do hotelu Niderlandzkiego.

— Gdzie jest numer 17? — spytał kelnera.

— Po tej stronie, schody B., na drugiem piętrze.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Odpowiedzialny za redakcję i wydawnictwo: Stanisław Wuffka. Z drukarni „Dzien. Pol.“ pod zarządem J. Mittiga.